

W roku akademickim 1974-1975 w paryskiej École pratique des hautes études rozpoczęło się seminarium poświęcone dyskursowi miłosnemu. Prowadzący owe zajęcia Roland Barthes jako ich nadrzędny temat wskazał język miłości-namiętności (*"l'amour-passion"*). I jakkolwiek najważniejszym omawianym dziełem były *Cierpienia młodego Wertera* Johanna Wolfganga Goethego, a powstały w rezultacie komentarz – zatytułowany *Fragmenty dyskursu miłosnego* – sprzedano później w zawrotnej liczbie stu tysięcy egzemplarzy, a nawet wystawiono na deskach Théâtre Marie-Stuart, nie chodziło w tym wszystkim wyłącznie o literaturę. Otóż podczas seminarium odnoszono się do całej sfery kulturowej pamięci i wiedzy, zmagano się z problemem stereotypów językowych, które odciskały swoje dosadne piętno na języku miłości. Pragnienie bowiem, twierdził Barthes z istoty swej niewysławialne, zaprzecza raczej możliwości uprawiania miłości słowami. Nazwać można jedynie prostą potrzebę materialną, jakiś rodzaj chcenia, ale nie prawdziwe (i rozumiane po Lacanowsku) pragnienie. Cóż z tego jednak, kiedy – wbrew temu – potoczna symboliczność nieustannie mówi o miłości, skoro wbrew temu posługujemy się konkretnymi kodami, figurami i topiką, skoro kreślimy "mapy czułości" i układamy hasła w "encyklopedii kultury uczuć".

Kolizja pomiędzy narzucającym się, związanym z wyobraźnią pragnieniem a podobnie zewnętrznym, ale empirycznym dyskursem jest nie do uniknięcia. Wniosek, jaki wywiódł z tej okoliczności Barthes, zawarty jest w znanym cytacie. Przytoczmy jego treść: "dyskurs miłosny jest dzisiaj *nadzwyczaj samotny*. Mówią nim może i tysiące podmiotów (któż to wie?), ale nikt go nie wspiera; został całkiem porzucony przez języki okoliczne lub też zignorowany, poniżony czy wykpiony, odcięty nie tylko od władzy, lecz także od jej mechanizmów (nauk, wiedzy, sztuki)".

To kategoryczne, i smutne, stwierdzenie nie w całości wszelako wydaje się potwierdzać. Trudno mianowicie zaprzeczyć temu, iż miłość jest jednym z podstawowych pokarmów współczesnych przedstawień i tekstów, ulubionym żerem popularnych mediów, że zajmują się nią zastępy specjalistów (od psychoanalityków i ginekologów po producentów afrodyzjaków i przepowiadaczy przyszłości), że namiętność trafiła do serwisów informacyjnych, na posiedzenia parlamentów, do sal wykładowych i lekcyjnych. Miłość to niezwykle atrakcyjny towar w świecie, w którym wszystko chyba zostało już roztajemniczone; przyciąga więc widzów i pieniądze. Można by na tej podstawie sformułować tezę, wedle której wszystko jest dziś w kulturze dyskursem miłosnym lub – w wersji łagodniejszej – dyskursem tyjącym erotycznej namiętności. Samonarzucającym się spostrzeżeniem jest tutaj to, że terazniejszość oferuje wielką gamę języków i terminów opisujących miłość, utrzymuje i powołuje do istnienia otwarte galerie, których bohaterami są postacie ko-

WALDEMAR KULIGOWSKI

Co w sercu, to na języku? Fragmenty dyskursów miłosnych

chanków, tworzy wzorce osobowe oparte na wierze w niezbywalność tego uczucia. Czyżby zatem istniała potrzeba weryfikacji Barthesowskiego twierdzenia o samotności dyskursu miłosnego? Poszukując odpowiedzi na to pytanie, chciałbym podjąć próbę przedstawienia wybranych dyskursów miłości-namiętności, jakie na różnych poziomach obecne są w dzisiejszej kulturze. Zaczniemy od dyskursów naukowych (bądź do naukowości aspirujących).

Dobrym, jak sądzę, wprowadzeniem w generalne problemy pojawiające się w mówieniu o miłości są elementy filozofii Ludwiga Wittgensteina. W swoich dociekaniach pytał on, czy rzeczywiście potrafimy odczuć to, co przydarzyło się innej osobie, czy jesteśmy w stanie doświadczyć jej radości, zwątpienia, bóleści? Skąd bowiem dowiadujemy się o czymś bólu – oczywiście "z języka". Tym samym więc ból nie jest wyrażany, ale jedynie zastępowany słowem 'boli'. Nasza znajomość tego pojęcia wynika zaś nie tyle z aktualnego odczuwania bólu, co raczej z faktu przyswojenia sobie języka i jego reguł znaczeniowych. Zamiast zjawiska mamy w rezultacie pojęcie, zamiast współodczuwania (współkochania) pozostaje technologia języka, istotę uczucia imituje bezduszna gramatyka.

Ten tok myślenia doprowadził Wittgensteina do wniosku o "urzeczeniu językiem", któremu powszechnie ulegliśmy, filozof dostrzegał też wyraźne guzy, jakie nabija sobie rozum, próbując przebić głową granice języka. Ale nie tylko w ciężkiej materii figur językowych doszukiwano się przyczyn zaburzeń, które utrudniają (a może wręcz czynią niemożliwym) komunikowanie uczuć. Oto Jacques Lacan przekonuje, że nasza podmiotowość ufundowana jest na unikalnym doświadczeniu: wynika z tego, że staję się podmiotem tylko i wyłącznie z tego powodu, że nikt nie może odebrać mi sposobu, w jaki postrzegam i odczuwam. Mało tego, jako podmiot pozbawiony jestem najbardziej intymnego, subiektywnego wejrzenia w siebie, w to, jak rzeczy naprawdę mi się wydają. Moja nieświadomość jest fenomenem zamkniętym i niedostępnym. Tym, co charakteryzuje podmiotowość nie są bynajmniej, jak podpowiada stereotyp, oznaki "życia wewnętrznego".

Podmiot nie jest obiektywnym mechanizmem regulującym ludzkie zachowanie: dla mnie samego, powiada Lacan, jest on pusty.

Lektura Wittgensteina i Lacana pokazuje wyraźnie, że nie tylko język separuje mnie od uczuć innych, nie tylko mowa odbiera mojej miłości istotowość; sama natura podmiotowości sprawia, że pozostajemy wzajemnie nieprzenikalni, osobni, zamknięci w swojej prywatności. Skoro zatem język nie może być wiarygodnym świadectwem, sięgnąć należy do innego rodzaju dowodów na miłość.

Tym razem nie chodzi już o skomplikowane wywody filozofów, lecz o zjawiska obserwowalne gołym okiem. Miłość można bowiem zobaczyć – przynajmniej wtedy, gdy jest się socjobiologiem. Przedstawiciele tej dyscypliny wiedzy utrzymują, że ludzkie zachowania zdeterminowane są przez ewolucję i naszą biologiczność. Z tego punktu widzenia, dla każdego gatunku, także dla *homo sapiens*, zadaniem najwyższej wagi jest zachowanie własnego trwania, a dokładniej swoich najlepszych cech genetycznych. Uczucia wpisane są w konkretne strategie przetrwania i walki: owulacja na przykład skrywana jest dlatego, że mężczyzna mógłby zaniedbywać partnerkę w okresach niepłodności; Robin Dunbar spekuluje, że pochodzenie mowy może być związane z tym, iż pierwotny mąż zniechęcał pierwotną żonę do potajemnych romansów, dając jej do zrozumienia, że na bieżąco śledzi wszelkie plotki; poezja miłosna z kolei jest domeną Hiszpanów, a nie Szwedów, gdyż w niższych temperaturach gorzej odbiera się feromony, a grube ubrania ograniczają bodźce wzrokowe. Słynna wizja “wojny plemników” roztoczona przez Robina Bakera objaśnia z kolei sekret kobiecego orgazmu – otóż szczytująca kobieta zatrzymuje w sobie większość nasienia, w innym wypadku duża część spermy po prostu z niej wycieka. Funkcją orgazmu jest więc zasysanie ejakulatu i ta forma premiowania wybranych partnerów jest odpowiedzialna za miłosne uniesienia, masturbacje, marzenia sennie, seksualne fantazje, za kształt kultury w ogóle. W tym więc kontekście, miłość jest swego rodzaju ‘bonusem’ od natury, ekstrawagancją w mozołnym i precyzyjnym procesie doboru naturalnego.

“Różnice w strategiach płciowych kobiet i mężczyzn widać już na poziomie komórek rozrodczych – przekonywał rodzinny fachowiec Bogusław Pawłowski w jednym z wywiadów – Podczas gdy z męskiej linii produkcyjnej schodzą miliony plemników dziennie, żeński zakładzik opuszcza jedno jajo na miesiąc. Od początku ona inwestuje w jakość, a on w ilość. A to, że plemniki są aktywne, a komórki jajowe biernie Darwin skomentował słowami: ‘Świat tak już jest urządzony, że samce zdobywają, a samice są zdobywane’”.

Nie wszyscy jednak uważają te katagoryczne sądy za prawdziwe. Oto na przykład Emily Martin zaprzecza stereotypowi, wedle którego kobiecie jajo jest wielkie, pasywne i wyłącznie przesuwane, a plemnik jako mały,

sprawny i poruszający się samodzielnie penetruje jego obrzeża i zyskuje tytuł zdobywcy. Najnowsze ustalenia pokazują, że pojedynczy plemnik posiada bardzo małą energię, a zapłodnienie jest raczej efektem aktywnej roli jaja, co podważa nie tylko dotychczasową wiedzę biologiczną, ale także wyobrażenia dotyczące ‘naturalnych’ ról płciowych. Bo też o symbole tu idzie, o pewne figury myślenia, o relacje między mężczyzną-plemnikiem a kobietą-jajem. Skoro więc to one są najwyższą stawką, tedy wystarczy w tym miejscu powiedzieć o socjobiologii za Cliffordem Geertzem, że jest to “osobliwa mieszanka zdrowego rozsądku i zdrowej bzdury”, a przedstawiana przez nią wiedza oraz jej interpretacje to po prostu efekt określonych gier społecznych. “Obiektywne fakty biologiczne stają się subiektywnymi kategoriami kulturowymi”, dopowiada jeszcze trafnie Kirsten Hastrup, pozwalając na odejście od kwestii wielkości jąder czy gęstości ejakulatu.

Kolejny dyskurs miłosny, który wydaje się być oczywistą konsekwencją dotychczasowego wywodu, jest dyskursem feministycznym. Rozpocznijmy od Adrienne Rich i jej głośnej książki *Of Woman Born*. Pisarka prezentuje w niej pogląd, wedle którego kobietom odmawia się ich własnej seksualności, narzucając im seksualność męską. Stąd bierze się powszechne przekonanie o wrodzonym kobiecie pociągu do mężczyzn, które jest w sposób oczywisty fałszywe. Ze względu na matkowanie dzieciom, objaśnia sprawę Rich, u dzieci obu płci występuje jeden pierwotny kierunek miłości: jest to miłość do kobiet. I wyłącznie przy użyciu posiadanej władzy mężczyźni zmuszają kobiety do heteroseksualizmu! Mężczyzn zatem w rzeczywistości się nie kocha, a jedynie naturalną tendencją namiętności jest lesbianizm. Lesbijska egzystencja to ponadto forma oporu, jawny atak na męskie prawo dostępu do kobiet. Wniosek przedstawia się jasno, podsumowuje Rich, wszystkie stosunki z mężczyznami mają charakter opresyjny.

Równie radykalne stanowisko zaprezentowała Mary Dale, filozof i teolog, pisząc, w pracy *Beyond God the Father*, o kontrkulturowym “stawianiu się kobietą”, o potrzebie wyjścia z seksistowskiego świata, w którym kobiety pozbawione są własnego języka i własnego widzenia. Należy tu wykroczyć poza “patriarchalnego Boga”, gdyż Bóg to mężczyzna, bóg-tylko-mężczyzn. Ten “Arcyfallus” (*Supreme Phallus*) “kastrował kobiety, dopóki pozwoli mu się żyć w ludzkiej wyobraźni”.

Logika opowieści o zniewoleniu, ukazująca kochanków zachodniego świata w kategoriach oportunistycznych ofiar systemu, nieubłagane prowadzi do pewnych wniosków. Otóż w świetle dyskursu feministycznego (a raczej jego przywołanego tutaj fragmentu) wszystkie idee miłości – platoński eros, chrześcijańska agape, dworny kodeks trubadurów i namiętność romantyczna – są rezultatem polityki płci, która nosi miano fallogocentrycznej. Kobieta jest w każdym

z tych wypadków obiektem uwielbienia, pożądania, adoracji, a jednocześnie pionkiem w męskiej grze o dominację. Najbardziej bodaj paradoksalne okazuje się jednak to, że ogromna część odpowiedzialności za podtrzymywanie patriarchy spada na postacie matek: one nie tylko matkują swoim córkom, ale także matkują przysposabianiu ich do życia w świecie rządzonego przez mężczyzn.

Symboliczna (a czasem również jak najbardziej cielesna) przemoc nie ma rzecz jasna swojego jedynego źródła w fallogocentryzmie – zwróćmy się teraz ku specjalistom od sztuki masowego uwodzenia. Pewnego poniedziałkowego poranka, na ruchliwym skrzyżowaniu w amerykańskim Buffalo, pojawił się nowy billboard. Wielkie czerwone litery przekazywały osobistą wiadomość: „Aniele w Czerwieni. Widziałem Cię w Garcia’s Irish Pub. Chciałbym się z Tobą spotkać. William”. Tysiące ludzi z rosnącym zainteresowaniem śledziło ów osobliwy uliczny telegram, z którego przez dziewięć kolejnych tygodni wyczytywano nowe wyznania zdesperowanego kochanka. Tajemnicza historia znalazła się wkrótce na ustach całego miasta, kobiety wydzwaniały do agencji reklamowej, próbując wydobyc adres romantycznego Williama, mężczyźni natomiast oblegali Garcia’s Irish Pub w nadziei ujżenia Anioła w Czerwieni. Wreszcie na billboardzie pojawiła się upragniona wiadomość: „Drogi Williamie. Chyba oszalałam. Do zobaczenia w Garcia’s. Piątek 20.30. Anioł”.

Pub nie przeżył jeszcze takiego obłędu, jak w ten piątkowy wieczór: chętnych do ujżenia pary zakochanych było tak wielu, że nie mieścili się we wnętrzach. Co najważniejsze – podobno nikt, z pracownikami wspomnianego pubu włącznie, nie zorientował się, że miasto pochłonięte romantyczną historią uległo w rzeczywistości zręcznej manipulacji. Postacie Williama i Anioła w Czerwieni oraz rodzącego się między nimi uczucia były elementami strategii reklamowej, odegranymi w ostatni wieczór przez wynajętych modeli. Namietność okazała się świetnym towarem marketingowym, a promowany przezeń towar dobrem pożądanym przez tysiące.

Przykład powyższy uzasadnionym czyni pytanie o autentyczność kolejnego dyskursu miłosnego, wyrażonego tym razem w kontrowersyjnym języku nowej dramaturgii brytyjskiej. Jej czołową – i bodaj najgłośniejszą – przedstawicielką jest Sarah Kane i jej „flagowy” dramat „4. 48 Psychosis”. Główna osoba tego przedstawienia woła rozpaczliwie „Miłości moja, czemu mnie opuściła?”, a potem wielokrotnie powtarza, niczym zaklęcie, niczym mantrę, słowa: „Zobacz mnie. Dotknij mnie. Kochaj mnie. Uwolnij mnie”. Występująca na deskach poznańskiego Teatru Polskiego Magdalena Cielecka, wykrzykując te kwestie, bije całym, półnagim ciałem o ścianę, krew zalewa jej twarz, ręce i piersi. Chwilę później umiera.

Zestawienie brutalizmu wtopionego w „4.48 Psy-

chosis” z niewinną przecież, żartobliwą reklamą pubu może wydawać się ryzykowne, ale łączy je to samo pytanie o status i autentyczność, ta sama wątpliwość dotycząca realnego istnienia (i mówienia) o miłości. Czy Sarah Kane naprawdę łaknie bliskości, naprawdę wyzywa miłość? Kto lub co ją opuściło, jakiego pragnęła wyzwolenia – czy takiego, jakie wybrała w momencie samobójczej śmierci?

Powróćmy w tym miejscu do przywołanej na początku tezy Barthesa mówiącej o samotności miłosnego dyskursu. Założenie słynnego semiologa wymaga bowiem korekty – najpierw na poziomie liczebników. Otóż miłość jest obecnie, jak starałem się to pokazać, tematem nie jednego, ale bardzo wielu dyskursów. Ich mnogość nie oznacza jednak, że wykreśleniu ulega cecha samotności; przecież krążące w kulturze dyskursy nie wspierają się, ale walczą o wyłączność i dominację. Jak zatem rozumieć dzisiaj sens popularnego porzekadła mówiącego, że „co w sercu, to na języku”? Wszak współczesna namietność przez jednych uważana jest za rzecz nie do wypowiedzenia; inni widzą w niej jedynie proste strategie doboru partnerów z możliwie doskonałym łańcuchem DNA; kolejne głosy mówią o tym, że związek mężczyzny i kobiety jest rezultatem patriarchalnej tyranii; ikona miłości bywa też wykorzystywana jako środek do uwodzenia klientów i pomnażania kapitału; w idiomie nowej dramaturgii przemienia się zaś w ciągi brutalnych, często obscenicznych obrazów, które ranią nawet teatromanów nawykłych do jatek urządzanych przez Szekspira. Co począć z takimi elementami układanki, i czy wzorem, jaki winien się ułożyć, będzie jeszcze miłość? Czy maski, jakie nakłada nań współczesna kultura nie skrywają aby pustki? Co stanie się, gdyby odwrócić tytułowe pytanie tego tekstu i nadać mu postać „co w sercu, to na języku”? Mam nieodparte wrażenie, że odpowiedź na nie byłaby jednak zbyt przygnębiająca, by warto było to czynić: lepsze już samotne dyskursy, niżli przeraźliwie samotni ludzie.